

# ARTYKULY I ROZ PRA WY

*Janusz S. Gruchala*

## E dytor między prawem a sumieniem

Uniwersytet Jagielloński, kontakt: [janusz.gruchala@uj.edu.pl](mailto:janusz.gruchala@uj.edu.pl), ORCID ID: 0000-0002-3938-9303

W przyjmowanym powszechnie przekonaniu edytor ma być fachowcem, który udostępnia teksty odbiorcom, nie tylko tym, którzy czytają dla przyjemności, ale także (w wielu wypadkach głównie lub wyłącznie) badaczom: literaturoznawcom, historykom, socjologom i innym. By wypełniać to zadanie kompetentnie, powinien posiadać umiejętności, których większość użytkowników tekstów nie uznaje za konieczne: powinien więc praktycznie poznać metody poszukiwania źródeł w archiwach i bibliotekach, zdobyć umiejętność ich odczytania (to nie jest tak banalne wymaganie, jak by się mogło zdawać), znajomość kontekstów kulturowych i szczegółową wiedzę o języku, musi też mieć rozeznanie w problemach krytyki tekstu. Każdy, kto uprawia to rzemiosło, dość szybko zdaje sobie sprawę z odpowiedzialności, która na nim ciąży: większość odbiorców, którzy będą czytać wydawany przez niego tekst, nie uzna za konieczne kontrolowania jego działań. Istnieje wszak coś w rodzaju niepisanego paktu między czytelnikiem a edytorem, obejmującego zaufanie pierwszego z partnerów, że ten drugi owe umiejętności rzemieślnicze ma i że działał z wymaganą starannością. Obliguje to edytora nie tylko do profesjonalnej biegłości, ale także do refleksji etycznej; stąd rzeczownik „sumienie” w tytule tego artykułu.

Nie zamierzam rozwijać tu tej ogólnej refleksji, bo z pewnością przerodziłoby się to w moralizujące kazanie. Chcę rozważyć wypadki, w których edytor decyduje się (lub nie) czegoś **nie wydawać**. Może być do tego zmuszony przez okoliczności zewnętrzne (prawo), ale też może i powinien mieć zdolność samodzielnego rozeznania uwarunkowań, których prawo pisane nie obejmuje albo opisuje je w sposób

ogólnikowy, niegroźny dla ewentualnego sprawcy, który łatwo obroniłby się przed sądem. Obie te motywacje (prawo spisane i własny osąd etyczny) są ważne dla edytora, zwłaszcza gdy zajmuje się tekstami powstałymi niedawno.

Postulat **powstrzymania się od edycji** lub przynajmniej ograniczenia jej zakresu wygląda na sprzeczny z wyznawaną niemal przez wszystkich zasadą neutralności wydawcy naukowego, jego służebnej roli w procesie komunikacji literackiej i pozaliterackiej. Piszący te słowa usłyszał kiedyś na seminarium edytorskim wypowiedź młodej adeptki rzemiosła, przekonanej, że obowiązkiem wydawcy naukowego jest wydawać bez żadnych skrótów czy pominięć. Może się przecież zrodzić podejrzenie, że oto edytor, pomijając cokolwiek, wchodzi w rolę cenzora, a to dziś grzech bodaj najcięższy. Z drugiej jednak strony nie jest on bezrefleksyjną maszyną do wydawania tekstów i przysługuje mu prawo do decydowania o swoich działaniach.

W dyskusjach na ten temat można spotkać się z interesującymi głosami historyków, edytorów źródeł. Wydaje się, że są oni bardziej radykalni od wydawców literatury, jeśli idzie o wyznaczanie zakresu swych edycji. Podlegając, oczywiście, ograniczeniom prawnym (w pewnej mierze wspólnym dla wydawców wszelakich dokumentów, także literackich), nie są skłonni wyłączać ze swych edycji niemal żadnego dokumentu czy szczegółu. Można to zrozumieć: kompletność materiału badawczego jest w pewnym sensie wymaganiem, które dobra edycja źródeł powinna spełniać. O ile jednak jest to oczywiste i łatwe w wypadku źródeł dawnych, których bohaterowie już od dłuższego czasu nie żyją, o tyle musi być przedmiotem refleksji, gdy chodzi o historię najnowszą; wskażmy tu (bez intencji wyrokowania o czymkolwiek) choćby dyskusje na temat upubliczniania w druku dokumentów służb bezpieczeństwa z czasów PRL. Wydaje się, że nawet przekonany wyznawca idei bezwarunkowego zobowiązania do wydawania wszystkiego (powiedzmy: historyk mediewista publikujący księgi sądowe) musi w takich wypadkach podjąć namysł nad etycznym wymiarem swych decyzji.

Dygresja o historykach nie jest przypadkowa, przedmiotem rozważań będzie tu bowiem wydawanie tekstów, które nie są „czystymi” dziełami literackimi, jakimi zazwyczaj zajmuje się edytor-polonista, lecz pod pewnym względem zbliżają się do źródeł historycznych. Chodzi o literaturę dokumentu osobistego, o teksty zwane także egodokumentami,

zaliczane do sfery intymistyki. One właśnie mogą być dla wydawcy źródłem dylematów etycznych, które warto rozważyć.

Terminologia jest ważna, dlatego należy się jej parę uwag. Pod pojęciem „dokumenty życia osobistego” przyjęto rozumieć dzienniki (w znaczeniu *journal intime*, a nie *diary*), pamiętniki i listy. Oczywiście jest, że są to także formy stosowane w literaturze jako przydatne sposoby konstruowania świata przedstawionego (powieść w listach, dziennik służący charakterystyce bohatera). Tu będą mnie interesować użytkowe odmiany tych odmian piśmienniczych, a nie ich literackie adaptacje.

W pracach historyków pojawił się ostatnio termin „egodokumenty”; zalicza się do nich, oprócz dzienników, pamiętników i listów, także testamenty, zeznania w sądach i urzędach oraz życiorysy. Są to więc relacje autora o samym sobie i swoim środowisku (niem. *Selbstzeugnisse*), które „dają badaczowi perspektywę subiektywnego wejrzenia w osobowość autora, jego sposób widzenia świata, postrzegania codzienności”<sup>1</sup>.

Można sądzić, że historyk zajmujący się egodokumentami bliski jest w swoich działaniach historykowi literatury: obaj poruszają się zarówno w domenie wiedzy (gr. *episteme*), jak i przekonani (gr. *doksa*), obaj

też muszą się nauczyć odróżniać jedno od drugiego.

Używany niekiedy termin „intymistyka” jest – przynajmniej – nieostry, ale może być przydatny. Wywodząc się z określenia odmiany gatunkowej *journal intime*, podkreśla zamknięty dla postronnych charakter tekstów zaliczanych do tej kategorii. Dla edytora tekstów intymistycznych stanowi to poważne wyzwanie: ma oto do czynienia z dokumentami, które z założenia albo nie mają innego odbiorcy poza autorem, albo mają jednego lub co najwyżej kilku odbiorców. Upowszechnienie tych tekstów w postaci drukowanej bądź elektronicznej oznacza z założenia rozmnożenie odbiorców ponad liczbę przewidzianą przez autora – z wszelkimi tego konsekwencjami.

Zanim przystąpię do omawiania owych konsekwencji, jeszcze parę słów o szczególnym statusie dokumentów życia osobistego. Nie można zapominać o ich sposobie istnienia, który można nazwać sposobem pragmatycznym, funkcjonalnym lub performatywnym. Prawdziwy, nie-literacki dziennik lub list jest „specyficzną odmianą praktyki piśmiennej, której zasadniczą funkcją nie jest nadanie słowu określonej, tekstowej postaci, ale działanie słowem poprzez jego zapisywanie”<sup>2</sup>. Dziennik osobisty jest „praktyką piśmienną rozumianą jako

## Kiedy edytor przymierza się do wydawania dokumentów osobistych, staje przed ograniczeniami zawartymi w przepisach prawa

nadawanie przedmiotom materialnym podwójnego znaczenia: jako narzędzi działania i jako nośników tekstu powstającego w ramach tego działania”<sup>3</sup>. O performatywności listu pisała też Elżbieta Rybicka<sup>4</sup>. Są to stwierdzenia ważne dla edytora dokumentów życia osobistego: ponieważ, z oczywistych powodów, nie może on powtórzyć owego efektu performatywnego dziennika czy listów, powinien pamiętać, że opublikowanie tych tekstów nie jest ich przeznaczeniem, lecz wypaczeniem<sup>5</sup>. Za każdym razem, gdy tego wypaczenia dokonuje, powinien pytać sam siebie, czy należy i czy warto.

## 1.

Kogo mogą przyciągać dokumenty życia osobistego?

Wymieńmy potencjalnych zainteresowanych:

- historyk,
- badacz literatury,
- czytelnik traktujący je jak dzieło literackie,
- edytor naukowy,
- lekarz, zwłaszcza psychiatra,
- prawnik zajmujący się sprawami własności intelektualnej,
- wydawca, specjalista od marketingu.

Kolejność może być różna, lista z pewnością nie jest zamknięta. Każdy z wymienionych przystąpi do tekstu osobistego z bagażem własnych doświadczeń zawodowych i oczekiwań, zastosuje też specyficzne narzędzia badawcze lub „reguły użycia” tych tekstów. Dobrze by się stało, gdyby wzajemnie szanowali swe uprawnienia i kompetencje, tak by edytor nie wyrokował o kondycji psychicznej autora, a prawnik nie wchodził w skórę historyka i próbował dekretować, co jest w tekście prawdą, a co nie. Nie pomaga w tym, niestety, natura tekstów intymistycznych: mogą one być zarówno źródłem historycznym, jak i świadectwem stanu psychicznego autora, narzędziem oddziaływania na odbiorcę, a także, w wielu wypadkach, dziełem literackim.

Kiedy edytor przymierza się do wydawania dokumentów osobistych osoby żyjącej lub zmarłej na tyle niedawno, że żyją jej bliscy lub znajomi, staje przed ograniczeniami zawartymi w przepisach prawa<sup>6</sup>. Chronią one interesy autorów zaangażowanych w powstanie tekstu (w wypadku listów – także adresatów!), ale również innych osób, które mogłyby ponieść szkodę w wyniku opublikowania tekstu. Część tych regulacji wydaje się oczywista, jako zgodne z przyjmowanymi ogólnie zasadami etycznymi nie rodzą one wątpliwości. Inne mogą powodować opór i wydawać się zbyt restrykcyjne lub niezro-

zumiałe, a niekiedy nonsensowne. Trzeba dodać, że jak zwykle w czasach „legokracji”, w wielu sytuacjach interpretacje pozostają w gestii sądów, a te mogą nie mieć wiedzy potrzebnej do rozstrzygnięcia sprawy (zob. np. zapadające niekiedy wyroki sądowe ustalające prawdziwość lub znaczenie faktów historycznych). Pewną trudność może sprawiać także język przepisów, który z konieczności (?) rozmija się z potocznym rozumieniem terminów i wymaga niekiedy skomplikowanych ekspertyz prawników.

Wśród wielu raf, na które może trafić edytor tekstów intymistycznych, bodaj najbardziej niebezpieczną jest możliwość złamania prawa do ochrony dóbr osobistych autora i innych osób. W odniesieniu do ochrony życia prywatnego i rodzinnego, czci i dobrego imienia jest to prawo konstytucyjne, gwarantowane więc przez najwyższy autorytet (Konstytucja RP, art. 47). Wśród owych dóbr są wymieniane również tajemnica korespondencji i kult pamięci osoby zmarłej, a także twórczość naukowa i artystyczna<sup>7</sup>.

W wypadku tekstów osobistych *sensu stricto*, czyli przeznaczonych dla samego siebie lub bardzo ograniczonej liczby odbiorców, publikacja bez wyraźnej zgody autora wydaje się więc wkroczeniem w jego prywatność i może zostać uznana za złamanie prawa. Oczywiście, po śmierci autora można mówić o zgodzie domniemanej, ale to konstrukcja myślowa dość ryzykowna w sensie prawnym, a ponadto rodzi się pytanie, jak długo po śmierci prawo to miałyby obowiązywać. Ustawa o prawie autorskim (art. 82) mówi na temat korespondencji, że w okresie dwudziestu lat od śmierci adresata (*sic!*), jeśli nie wyraził on innej woli, zgody na publikację udzielić mogą małżonek, a w razie jego braku inni ustawowo uprawnieni. Przepis ten jednak nie odnosi się do innych dokumentów osobistych.

Nie trzeba dodawać, że definicje prywatności, czci i dobrego imienia zmieniają się w czasie i w zależności od grupy społecznej. To, co było kompromitujące i zniesławiające przed półwieczem, dziś może się okazać upragnionym skandalem, przynoszącym popularność. To, czego wstydzi się profesor uniwersytetu, może nie rodzić żadnych negatywnych skojarzeń w środowisku aktorów czy „fanów” jakiejś popularnej grupy muzycznej. Postępujący zanik poczucia wstydu, obecny w niektórych środowiskach przymus transgresji obyczajowej może także edytorów skłaniać do przesuwania granic tego, co dozwolone.

Wykroczenie przeciw prywatności, czci i dobremu imieniu może dotyczyć nie tylko autora egodokumentu, ale również osób przezeń wspomnianych, a w wypadku listów – adresata. Grozi ono edytorowi oskarżeniem ze strony

pokrzywdzonych, ale także ich spadkobierców, stowarzyszeń twórców i organizacji zbiorowego zarządzania prawami autorskimi. Co więcej, gdy sprawa dotyczy osób uznanych i powszechnie szanowanych, publikacja może naruszać też interes publiczny (społeczny), jakim jest ochrona dobrego imienia twórcy, a podstawą oskarżenia będzie obrona „w interesie publicznym w imię obrony wartości narodowej kultury”. W takiej sytuacji przeciw zgłosić może każdy obywatel<sup>8</sup>.

Wydawca tekstów intymistycznych występuje również, niemal zawsze, przeciwko literze innego przepisu, a mianowicie ustanawiającego prawo autora do decydowania o pierwszym udostępnieniu utworu publiczności (Ustawa o prawie autorskim, art. 16). Jeśli autor nie żyje, a tak przecież bywa dość często, nie można go poprosić o podjęcie tej decyzji, a autorskie prawa osobiste są, w myśl ustawy, niezbywalne i nieograniczone w czasie.

W tym samym artykule ustawy zapisano prawo autora do „nienaruszalności treści i formy utworu oraz jego rzetelnego wykorzystania”. Jeśli potraktować ten przepis literalnie, można go rozumieć jako zagrożenie dla tych edytorów, którzy pomijają pewne fragmenty tekstu, aby nie naruszyć prawa do ochrony dóbr osobistych autora, nie spowodować zgorzenia lub zagrożenia interesu publicznego.

Wreszcie, wydawcę listów można by oskarżać o złamanie tajemnicy korespondencji, skoro autor nie zdecydował o jej publikacji. Rozsądek każe myśleć, że konstytucyjne prawo do tajemnicy korespondencji odnosi się zwykle raczej do działań innych niż działania edytorskie, ale literalnie rozumiane prawo pozostaje prawem. Szczęśliwą dla edytora okolicznością może być to, że często korespondencja udostępniana jest przez osoby uprawnione po śmierci autora lub przez archiwa i biblioteki, do których listy trafiły z woli bądź autora, bądź jego spadkobierców.

Rzecz jasna, wszystkie te potencjalne wykroczenia wydawcy egodokumentów przeciw prawu da się usprawiedliwić ważnym interesem społecznym, tyle że jest to pojęcie podlegające ocenie, zależne od uwarunkowań oceniającego. Może się okazać, że ważny interes społeczny dla jednych wymaga wywleknięcia na światło dzienne tajemnic życia seksualnego pisarza, a dla innych wręcz przeciwnie, skłania do skrywania tej sfery przed publicznością czytającą.

Ktoś, kto chce się rozeznąć w przepisach prawnych dotyczących omawianej tu dziedziny, natrafia na niepokojące niespójności. Największe wątpliwości może rodzić definiowanie

utworu, czyli „przejawu działalności twórczej o indywidualnym charakterze” (Ustawa o prawie autorskim, art. 1). Jest to zadanie niezwykle trudne, a decyzje muszą być jednoznaczne: byt (np. tekst) uznany za utwór podlega przepisom ustawy, a nieuznany – nie. Nawet profesjonalści (a może zwłaszcza oni) nie są skłonni wyrokować w tej sprawie bez wątpliwości, wobec tego czynią to prawnicy, którym nie zawsze można przyznać kompetencje w tym zakresie. Postępują więc na swój sposób racjonalnie i za przejaw działalności twórczej uznają wszystko, co nie jest prostym komunikatem i nie zawiera nacechowania językowo-stylistycznego lub emocjonalnego<sup>9</sup> (interesujące byłoby poznanie kryteriów owej językowej czy też uczuciowej analizy...).

Jeśli więc większość listów, w myśl owej praktyki orzeczniczej sądów, należy do kategorii utworów, należałoby wobec nich stosować zasady dotyczące autorskich praw majątkowych i umawiać się o prawo do wydania z autorem lub jego spadkobiercami, przy czym prawa wygasłyby siedemdziesiąt lat

po śmierci autora. Tymczasem Ustawa o prawie autorskim w art. 82 przyznaje prawo decydowania o rozpowszechnianiu listów ich adresatowi (domyślnie: także wbrew woli żyjącego autora?), a po jego śmierci przez dwadzieścia lat – określonym w ustawie osobom.

Potęguje to niepewność edytora: czyżby listy nie były utworami w rozumieniu ustawy, skoro o ich rozpowszechnianiu nie decyduje autor? Jeśli zaś nie są utworami, to czy dla ochrony dóbr osobistych adresata nie wystarczą przepisy kodeksu cywilnego?

Może najrozsądniej byłoby przyznać listom status dokumentów, których miejsce jest w archiwum, i wydawać je jako takie właśnie? Rzecz jasna, nie dotyczyłoby to listów literackich, pisanych z myślą o publikacji, a także bardzo nielicznych zbiorów epistoł o wielkiej wartości artystycznej. Nie rozwiązałyby to wszystkich problemów, ale przecież obecny stan, kiedy to każdy list potencjalnie jest utworem, też nie jest od nich wolny.

Jak widać, zderzenie edytora dokumentów osobistych z prawem może być dlań bolesne: gdyby brać przepisy dosłownie i bardzo poważnie, właściwie nie powinno się przystępować do wydawania intymistyki współczesnej. Istnieje jednak i inne zagrożenie: przekonanie, że wszystkie regulacje prawne ograniczają wolność, są więc szkodliwe, a raj edytora polegałby na zupełnej swobodzie. Dobrze ilustruje to recenzja pierwszego tomu korespondencji Samuela Becketta z 2009 roku, którą napisał John Maxwell Coetzee. Autor

## Wydawcę listów można by oskarżać o złamanie tajemnicy korespondencji

*Końcówki*, chroniąc swoją prywatność, zastrzegł, że mogą się ukazać tylko te fragmenty listów do kobiet, które mają związek z jego twórczością. Wydawcy, oczywiście, uszanowali wolę noblisty. Recenzent, również noblista, wyraził niezadowolenie z tego faktu i zarysował świetlaną przyszłość:

Z pewnością przyjdzie kiedyś dzień, kiedy restrykcje prawne wygasną, całe archiwum zostanie otwarte i zniknie granica między sferą prywatną i literacką. Do tego czasu w tomie pierwszym i zaplanowanych trzech następnych musimy się zadowolić wyborem 2500 listów i fragmentami 5000<sup>10</sup>.

Ceniąc dorobek literacki recenzenta, nie można się powstrzymać od refleksji, że pisząc o listach Becketta, przeżył wyraźną obniżkę formy intelektualnej: żalosne marzenie o braku granicy między sferą prywatną i literacką przypomina raczej odbiorców oper mydlanych i *talk-show* niż autora poważnych powieści.

## 2.

Odpowiedzialność wydawcy dzienników osobistych i listów nie może się ograniczać do przestrzegania ustaw, które zresztą nie jest dobrowolne i samo z siebie nie przynosi chluby. Nie jest bowiem tak, że wydawcy naukowego nie ogranicza nic poza prawem zapisanym w przepisach. Ma on jeszcze coś osadzonego głębiej, co każe mu dbać o cześć autorów, których wydaje, ale także o godność własną; chciałbym nazwać to edytorską samoświadomością lub – po staroświecku – sumieniem. Unikając jednoznacznych sądów i kaznodziejskiego tonu, wskażę kilka sytuacji, w których edytor powinien przemyśleć swoje decyzje.

Dobrze byłoby na przykład zachować ostrożność w sytuacji, gdy wydawany tekst mógłby pozbawić autora godności i szacunku lub choćby potencjalnie do takiej depriwacji prowadzić. Można tu mieć na myśli np. teksty pisane w chorobie, zwłaszcza psychicznej czy neurologicznej, upośledzającej system nerwowy i funkcjonowanie mózgu. Badania takich utworów nazwano „patografią”, eksploracje tych terenów stają się coraz bardziej popularne<sup>11</sup>. Podglądanie znanych osób w chwilach słabości, czego te osoby zapewne by sobie nie życzyły, wglądanie w cudze stany chorobowe, jakkolwiek interesujące, można uznać za aberrację, a teksty powstające w takich okolicznościach może lepiej pozostawić w domenie świadectw choroby niż wydobywać na światło. Nie bez przy-

czyny dokumentacja medyczna jest jedną z najściślej strzeżonych tajemnic, a złamanie tajemnicy lekarskiej wywołuje oburzenie. Edytor na ogół nie ma kwalifikacji lekarza psychiatry i nie jest powołany do rozsądzania, co jest zapisem stanów chorobowych, a co nie. Zwykle wycucie tu z pewnością nie wystarczy.

Oczywiście, bywa i tak, że pisanie pomaga autorowi zmagającemu się z chorobą utrzymać się w znośnej kondycji psychicznej, może być też zalecone przez lekarzy (czy nie jest to przypadek *Dziennika* Jana Lechonia?). Dyskomfort edytora i czytelnika może wtedy polegać na tym, że są świadomymi obserwatorami tego zmagania i że dostarcza im to dodatkowej satysfakcji.

Kontrargument brzmi zazwyczaj tak, że twórczość literacka w ogóle polega na odejściu od codziennego sposobu komunikowania się. To pewnie racja, ale też niewiele wśród arcydzieł literatury światowej tekstów powstało w zdiagnozowanych stanach chorobowych.

\*

Silną pokusą są dla wydawcy egodokumentów intymne relacje erotyczne autorów. Chroniąc się w prywatnym zaciszu dzienników i listów, pozwalają oni sobie na swobodę, którą pohamowaliby w sytuacjach publicznych. Wydawcom taka „szczerłość aż do bólu” może się podobać jako „piękne ryzyko, dowód odwagi i etycznej uczciwości”<sup>12</sup>. Nie bez znaczenia jest też przekonanie, że tematyka miłosna przyciąga nawet tych czytelników, którzy nie interesują się na co dzień literaturą niefabularną. Ta siła atrakcyjna i względ na sprzedaż książki mogą skłaniać do zgody na działania, które nie stawiają edytora w sytuacji przynoszącej mu chlubę.

Przykładem może być wydanie listów Haliny Poświatowskiej przez krakowskie Wydawnictwo Literackie: najpierw w czwartym tomie *Dzieł* w 1998 roku, później powtórzone (w 2015 roku) jako wydawnictwo samoistne. Trzy pierwsze tomy *Dzieł* zawierają utwory poetyckie i prozatorskie Poświatowskiej, wstęp napisała Anna Nasiłowska. Jest to wydanie bardzo pożyteczne i potrzebne, miłośnicy popularnej pisarki mogą korzystać z jej dorobku zebranego w całość. Tom czwarty natomiast wydano w formie, która raczej nie spełnia wymogów edytorskich: dwieście osiemdziesiąt dziewięć listów poetki do siedemnastu adresatów ułożono chronologicznie „ze względu na charakter edycji, przeznaczonej dla szerokiego grona miłośników twórczości Poświatowskiej” (*Nota wydawcy*). Nie ustalono nawet w przybliżeniu, jaka to część korespon-

dencji, a co więcej: wydano listy i fragmenty, które były dostępne w czasopiśmie i w książkach, podane do druku przez adresatów. Tylko w niektórych wypadkach możliwe było porównanie tych źródeł z oryginałami. Edytorzy zostały wymienione na stronie redakcyjnej: to Maria Rola i Barbara Górka, współpracowała z nimi Małgorzata Porębska (siostra poetki). Powód, dla którego doszła do skutku tak kiepsko przygotowana edycja, zdradza po części tekst na tylnej okładce tomu:

Listy, ułożone w porządku chronologicznym, tworzą swoisty rodzaj intymnej autobiografii, są przejmującym dokumentem dramatycznej walki z chorobą, a zarazem świadectwem wrażliwości, uporczywości oraz akceptacji życia.

Jednym z korespondentów Poświatowskiej był jej rówieśnik, Ireneusz Morawski, niewidomy pisarz z Częstochowy, którego poznała w wieku dwudziestu jeden lat i z którym połączyła ją żywe uczucie. Korespondencja trwała kilka lat, pierwszy przerwał ją Morawski, na co poetka odpowiedziała publikacją, w formie długiego listu, *Opowieści dla przyjaciela* (Kraków 1966 i co najmniej siedem wydań późniejszych). Poświatowska chciała wydać listy przyjaciela, przygotowała nawet tę edycję w maszynopisie, ale nie uzyskała zgody od autora, który odmawiał konsekwentnie także innym potencjalnym wydawcom do końca swego życia (2011) przez wzgląd na swą żonę. Ta jednak wkrótce po śmierci męża zwróciła się do Marioli Pryzwan i w ten sposób powstało wydanie z 2017 roku<sup>13</sup>. Edytorzy porównała maszynopis Poświatowskiej z oryginałami listów udostępnionymi przez rodzinę poetki, zaznaczyła nawet skrupulatnie skreślenia poczynione przez Poświatowską. Można więc dziś czytać owe listy, mające charakter wybitnie literacki, z wszystkimi cechami stylu młodego literata. Nie warto by tu pisać o tej edycji, bo też tekst nie należy do dzieł ważnych dla polskiej literatury, gdyby nie to, że pokazuje ona jeszcze wyraźniej mechanizm wykorzystywania historii miłosnej w marketingu książki. Oto na dolnej okładce można przeczytać tekst reklamowy, którego fragmenty doskonale ilustrują intencje wydawcy (firmy Prószyński i S-ka):

Owiane tajemnicą, nieznane miłosne listy do Haliny Poświatowskiej. Opowieść o miłości i przyjaźni Haliny Poświatowskiej i Ireneusza Morawskiego. Ona – poetka chora na serce. On – niewidomy literat. Poznali się pod koniec 1956 roku. Tak rozpoczął się jeden z najpiękniejszych romansów w polskiej literaturze XX wieku. [...] Dziś czyta się je [listy Morawskiego] jak najpiękniej-

szą opowieść o uczuciu dwojga nadwrażliwców i najczulszy portret genialnej poetki.

Ten chwytający za serce elaborat marketingowy pokazuje, jakie emocje mogą budzić listy miłosne u wydawców.

Jeszcze lepiej, jeśli miłość w listach nie jest pozbawiona pikanterii. Jako przykład niech posłuży wydanie listów Witkacego do jego żony Jadwigi z lat 1923–1939<sup>14</sup>. Już sam nadawca, znany skandalista i oryginał, kazał się spodziewać w przygotowywanej edycji atrakcji nie lada. Będzie o tym wydaniu mowa niżej z innego powodu, ale tu warto wspomnieć zabiegi promocyjne, które towarzyszyły listom Witkacego do żony na długo przed ich ukazaniem się. Doświadczeni edytorzy, Anna Micińska i Janusz Degler, pracujący przez długie lata nad tym zespołem tekstów, świadomie podnosili temperaturę oczekiwań. Jak bowiem inaczej zrozumieć wypowiedź Micińskiej już w 1981 roku: „W sprawie listów Witkacego do żony powiem wszystko, nie mam nic do ukrycia!”<sup>15</sup>. Kilkanaście lat później Degler tytułował swój tekst o listach: *Szczerłość aż do granic ekshibicjonizmu*<sup>16</sup>, zapowiadając dziennik intymny pisarza, który szczegółowo opisuje swe dolegliwości i najwstydlwsze doznania. Rozbudzane w ten sposób oczekiwania części czytelników, zaspokojone dopiero po wielu latach, musiały wpłynąć na powstanie swoistej legendy listów, obejmującej także rodzaj stosunków łączących ze sobą ową dziwną parę małżeńską.

Jeszcze lepiej udaje się rozegrać kampanię marketingową towarzyszącą wydaniu tekstu osobistego, jeśli mowa w nim o erotyce homoseksualnej. Stanowi ona w nie do końca jeszcze „zeuropeizowanym” społeczeństwie polskim element przyciągający, nawet jeśli zasadniczo nieakceptowany. Trzeba tu przypomnieć *casus* Witolda Gombrowicza i jego osobistych zapisków, z których zrobiono wielkie wydarzenie literackie i edytorskie<sup>17</sup>. Posmak skandalu i renoma autora dobrze się przysłużyły sprzedaży tomu Wydawnictwa Literackiego.

Edytorzy listów Witkacego i notatek Gombrowicza spełnili swe zadanie zgodnie z regułami sztuki edytorskiej; trudniej to powiedzieć o wydawcach listów Poświatowskiej i Morawskiego. Wszyscy jednak nie ustrzegli się przed pokusą tworzenia wokół tekstu aury niezwykłości, wykorzystując przy tym tematykę miłosną bądź w formie romansowej, bądź też z dodatkiem odrobiny „pieprzu” obyczajowego. Lepiej by było, gdyby edytor zostawiał to specjalistom od marketingu wydawniczego.

\*

Sprawą, w którą niekiedy wplątany zostaje edytor, jest problem zgody autora na publikację tekstu osobistego, a może raczej brak owej zgody. Jak wiadomo, w literaturze nie brakuje dzieł, które miały zostać zniszczone, ale woli autora nie spełniono. Najczęściej przytacza się przykład Franza Kafki, który polecił przyjacielowi spalić wszystkie swe rękopisy po śmierci. Nieposłuszeństwo Maksa Broda, wielce zasłużonego dla losów dzieł Kafki, określa się dziś jako *felix culpa*<sup>18</sup>.

Co innego jednak utwory literackie, a co innego dokumenty życia osobistego. W nich przecież autor szuka prywatności, nie pisze ich z perspektywą publikacji. A cóż gdy wiadomo o wyraźnym zakazie autorskim lub o braku dowodów, że liczył się z możliwością szerszego udostępnienia dzieła! W takich wypadkach edytor nie może liczyć na łatwe rozgrzeszenie, kwestionowany będzie już fakt wydania.

W ostatnich kilkunastu latach wybuchło w Polsce kilka skandalu edytorskich związanych właśnie z brakiem zgody autorskiej. Wspomniane wyżej listy Stanisława Ignacego Witkiewicza do żony, zachowane przez nią, mimo że autor prosił, by je niszczyła, przekazane w 1968 roku w testamentie z zakazem udostępniania nawet badaczom twórczości Witkacego przez dwadzieścia lat, były znane czytelnikom we fragmentarycznych edycjach nawet w tym okresie, który wyznaczyła Jadwiga, nie mówiąc już o tym, że nadawca tych listów był przeciwny ich upublicznieniu<sup>19</sup>. Sprawa wzbudziła dość gwałtowne kontrowersje, doszło nawet do poświęconego jej posiedzenia Wydziału Nauk Prawnych i Ekonomicznych Wrocławskiego Towarzystwa Naukowego. Argumenty wydawców były te same co zawsze: wartość listów dla literatury polskiej i dla badań nad twórczością Witkiewicza. Anna Micińska twierdziła, że listy do Jadwigi stanowią „jedno z najbardziej fascynujących dzieł literackich epoki, a bodaj czy nie najbardziej fascynujące z dzieł autora *Szewców* i *Nienasyceń*”<sup>20</sup>. Wydaje się, że przesada zawarta w tej opinii miała nie tylko wzmocnić argumentację na rzecz wydania listów, ale może również uciszyć nieco sumienie edytorskie.

Pod pewnym względem podobna jest sprawa publikacji notatek św. Jana Pawła II w 2014 roku przez krakowskie wydawnictwo Znak<sup>21</sup>. Autor nakazał w testamencie spalenie tych zapisków, a wykonanie polecenia zlecił swemu sekretarzowi, ks. Stanisławowi Dziwiszowi. Ten nie tylko nie zrobił tego, ale

## Zderzenie edytora dokumentów osobistych z prawem może być dlań bolesne

po niecałych dziesięciu latach, już jako kardynał metropolita krakowski, doprowadził do wydania książkowego. W *Słowie* poprzedzającym tekst tłumaczył: „Nie spaliłem notatek Jana Pawła II, gdyż są one kluczem do zrozumienia jego duchowości”<sup>22</sup>. W czasach wzmożenia antykościelnego, a być może także w związku ze złożoną zgodnie z prawem kościelnym rezygnacją kardynała Dziwisza z funkcji metropolity (przyjętą jednak dopiero dwa lata później), nie brakło „odważnych” publicystów rozważających decyzję kardynała z różnych stron. Nie zawsze chodziło im o dobro Kościoła, często wręcz przeciwnie, a jeszcze mniej martwiły ich problemy edytorskie.

Nieco inaczej ma się sprawa z *Kronosem* Gombrowicza. Autor nie ukrywał, że sporządza prywatne notatki, wspominał o tym nawet w drukowanym *Dzienniku*, ale nie ma wyraźnej deklaracji, że liczył się z ich publikacją. Dopiero świadectwo Rity Gombrowiczowej we wstępie do wydania z 2013 roku stwarza wrażenie, że mąż powierzył jej wydanie notatek; nie jest to jednak powiedziane wprost. Dlatego wielu uczestników

dyskusji zgłaszało wątpliwości co do roli Rity Gombrowiczowej w wydaniu *Kronosa*.

Wszystkie omówione decyzje o wydaniu tekstów osobistych wbrew woli autora lub bez jego wyraźnej wyrażonej zgody dowodzą, że jest

to możliwe, ale stawia edytora przed trudnymi wyborami, których ma dokonać w pełnej świadomości, że konsekwencje bierze na swoje sumienie. Musi mieć naprawdę ważny powód, by wolę autora zlekceważyć lub zmienić.

\*

Działaniem edytora, które ma oczywisty związek z sumieniem, jest traktowanie tych fragmentów wydawanych tekstów intymistycznych, które mogłyby być naruszeniem dóbr osobistych osób trzecich. To jasne, że autorzy dzienników i listów czują się uprawnieni do swobodnego wypowiedzenia opinii o innych, powtarzania pogłosek i plotek, używania ostrych sformułowań. Nie licząc się z perspektywą publikacji, bywają szczerzy w ujawnianiu spraw wstydlivych, opowiadaniu o wydarzeniach drastycznych, ujawnianiu tajemnic swego życia wewnętrznego. Często niedyskrecje dotyczą osób najbliższych. Kto wie, czy nie są to ważne powody popularności czytelniczej literatury dokumentu osobistego? Można to poniekąd zrozumieć: fragmenty takie pozwalają czytelnikowi zobaczyć autora jako kogoś żywego, bliskiego, „ludzkiego”, przyczynia-

ją się w ten sposób do lepszego poznania go. Z drugiej jednak strony zainteresowanie takie może mieć cechy voyeurizmu: jeśli złe opinie o innych, opisy kryzysów czy tajników relacji międzyludzkich miałyby być dla czytelnika ważną atrakcją, to edytor nie powinien się stać dostarczycielem takich podniet, które by mogły kogokolwiek skrzywdzić.

Trzeba tu wrócić do refleksji na temat charakteru tekstów osobistych. W sytuacji, w której one powstają, plotka, niedyskrecja czy gwałtowna ocena innej osoby spełniają funkcję performatywną, autor chce osiągnąć coś, czego w edycji dokonanej *ex post* nie da się powtórzyć. Po pierwsze, czytelnik nie jest uczestnikiem tych wydarzeń, o których czyta, a po drugie, uwikłany jest w relację z tekstem raczej niż z osobami, o których czyta.

Dla wydawcy wynika z tego obowiązek namysłu nad tym, czego wydać nie powinien. Najbardziej przekonani zwolennicy tezy, że nie wolno niczego w edycji pomijać, winni ustąpić nie tylko przed perspektywą procesów cywilnych wytoczonych przez osoby poszkodowane, ale przede wszystkim przed własnym wewnętrznym przekonaniem, że mają zachować godność cudzą i swoją.

Jako przykład wielce instruktywny niech posłuży polemika, jaka rozegrała się niedawno na łamach rzeszowskiej „Frazy”. W numerze pierwszym z 2011 roku pismo opublikowało listy wymienione między Janem Darowskim a Adamem Czerniawskim w latach 1990–1993, podane do druku przez tego ostatniego<sup>23</sup>. Wiele uwag w nich zawartych dotyczy wspólnych znajomych obu korespondentów, a Darowski i Czerniawski nie powstrzymują się od dosadnych określeń, przypuszczeń, a niekiedy insynuacji. W numerze następnym, w *Listach do redakcji*, ukazał się tekst Edwarda Zymana pt. *Listy z magła*. Pisał on:

Są teksty, których nie powinno się napisać nigdy. A skoro – pod wpływem urażonej ambicji, zawiedzionej miłości własnej czy wrodzonej przyjemności opluwania bliźnich – już owe teksty się, niestety, napisało, zwykła przyzwoitość i troska o godność własną powinny ich autorów przytrzymać za rękę, nim bezrefleksyjnie (!) zdecydują się przekazać je do druku<sup>24</sup>.

Autor tych słów gwałtownie zaatakował Czerniawskiego za publikację, zwłaszcza w sprawie tych fragmentów, które dotyczą kanadyjskiego środowiska literackiego, w szczególności Wacława Iwaniuka, Polskiego Funduszu Wydawniczego i planowanego na początku lat dziewięćdziesiątych w Toronto kwartalnika literackiego. Darowski nazywa Iwaniuka w jed-

nym z listów „ponurym Ukraińcem”, Jerzego Sitę „błazenem”, który chce niesłusznie uchodzić za „kontynentowca” (s. 291–292). Dodajmy, że we wcześniejszych listach tematem wymiany opinii obu korespondentów jest działalność londyńskiej Oficyny Poetów i Malarzy, a zwłaszcza książka Czesława Bednarczyka *W podmostowej arkadzie*, która wielce uraziła Czerniawskiego i skłoniła do zdecydowanych osądów dotyczących nie tylko wspomnień drukarza, ale także całej działalności Oficyny.

Pikanterii sprawie dodaje to, że wydawcą „Frazy” jest stowarzyszenie literacko-artystyczne ściśle współpracujące z Polskim Funduszem Wydawniczym w Kanadzie, firmujące wspólnie z nim wiele książek literackich. Zymana aluzyjnie wypomniał to wydawcom „Frazy”<sup>25</sup>, co skłoniło zapewne Jana Wolskiego do sformułowania w imieniu redakcji krótkiej odpowiedzi. Pada w niej ważne stwierdzenie o charakterze ogólnym:

Publikowanie prywatnych listów [...] zawsze będzie się wiązało z naruszeniem sfery prywatności w imię waloru poznawczego i dokumentalnego. Ich analizy, a przede wszystkim oceny, każda z zainteresowanych osób musi dokonać sama. Nie jest to sprawa publicznej polemiki<sup>26</sup>.

Nie muszę tu dodawać – w kontekście wszystkiego, co powiedziano wyżej – że taki sąd uważam za niesłuszny: edytor nie jest, moim zdaniem, automatem do wydawania, nie jest mu dobrze w maglu.

Na szczęście, większość wydawców tekstów osobistych stara się przestrzegać pewnych reguł chroniących godność osób, które w wyniku publikacji mogłyby doznać szkody; wydaje się też, że powoduje nimi nie tylko obawa przed konsekwencjami prawnymi. Dzieje się tak zwłaszcza wtedy, gdy edytor bierze pod uwagę dobro żyjących osób bliskich autorowi albo z nimi współpracuje przy edycji. Przykładów można by przytaczać wiele, tu wystarczą dwa.

Wacław Holewiński, przyjaciel Krzysztofa Mętraka i wydawca jego dość kontrowersyjnego dziennika, pisze wprost, że wyboru dokonał przy czynnym udziale wdowy po autorze i jego dwóch najbliższych przyjaciół<sup>27</sup>; należy założyć, że nie szukał u nich wyłącznie opinii o literackiej czy publicystycznej wartości zapisków Mętraka.

Wydawca owianych legendą zapisków Edwarda Stachury, Dariusz Pachocki, nie tylko dokonał wyboru koniecznego ze względu na charakter materiału zawartego w zeszytach, ale także zdecydował się na skróty. Warto przytoczyć stosowną jego deklarację:



Ze względu na uczciwość wobec przyszłych czytelników wypada wspomnieć, iż w opracowywanych zeszytach znajdują się także fragmenty, które nie zostaną opublikowane. Chodzi tu o niezwykle delikatne sfery, których naruszenie z różnych względów byłoby nie na miejscu. Była żona Stachury od wielu lat konsekwentnie milczy na temat ich relacji. Ma do tego pełne prawo i należy to uszanować. Zatem, wszelkie fragmenty, które mogłyby naruszać prywatność tej relacji i godzić w jej dobra osobiste – zostały pominięte<sup>28</sup>.

Widać w tym krótkim fragmencie, że edytor nie skarży się, że musiał skreślać, czego by najchętniej nie robił, ale zmusza go do tego prawo; nie podkreśla też, że jest wtajemniczony bardziej niż czytelnik dziennika. Bierze na siebie te decyzje i jest przekonany o ich słuszności.

### 3.

Kłopoty edytorów z sumieniem nie ograniczają się do omówionych wyżej spraw. Można by zasadnie pytać, czy mamy prawo wydawać juvenilia pisarzy, zwłaszcza takie, o których wiadomo, że były przedmiotem wstydu autorów z różnych powodów, nie tylko literackich. Bywa też odwrotnie: czy mamy prawo ukrywać w wydaniach zbiorowych teksty opublikowane, ale przez autora skazane potem na zapomnienie? Można się zastanawiać, czy wydawanie twórców grafomańskich wszelkiego rodzaju bardziej szkodzi ich autorom, czy raczej wydawcom. Sprawą dyskusyjną jest modne ostatnio upublicznianie notatników, roboczych zeszytów czy „sylv”, które były zrozumiałe głównie dla autorów, zawierają często wiele materiałów cudzych i wymagałyby bardzo obszernych objaśnień, by czytelnik odniósł z nich jakiś pożytek<sup>29</sup>. Problematiczne jest też wydawanie wybranych listów przez samych ich adresatów lub nadawców: wybór zawsze chyba jest nieobiektywny, a często edycja bywa motywowana nie tyle korzyściami poznawczymi, ile założoną przez wydawcę tezą<sup>30</sup>.

\*

Skoro tak wiele aspektów związanych z wydawaniem tekstów intymistycznych wymaga od edytora refleksji, umotywowanych decyzji i zmagania się z wątpliwościami, to może lepiej unikać takich zadań, a nawet wyobrazić sobie świat bez egodokumentów czekających na wydawcę?

Gustaw Flaubert napisał kiedyś: „Myślę, [...] że pisarz powinien zostawić po sobie tylko swe dzieła. Jego życie nie ma wielkiego znaczenia”. Ta arcyszusna myśl, gdyby autorzy ją realizowali, uwolniłaby wydawców od wielu przeklętych problemów. Dwuznaczność polega na tym, że pochodzi ona... z listu wielkiego pisarza<sup>31</sup>.

**Key Words:** ethics in editing, intimacy, daily literary practice, editor's conscience, private letters, diaries, rights to publish personal documents

**Abstract:** In the commonly adopted approach, an editor is supposed to be a professional who provides texts to the reading audience. However, in the case of personal texts (letters and diaries) they face problems of ethical nature: whether to ignore the nature of those texts, which were clearly written without the intention of publicizing them, or even marked with an objection to do so? Where to find the line between the duty to reveal, and simple loyalty to the authors of a letter or an intimate diary? What to do with texts written in a state of mental or neurological illness?

The article presents discussions on the topic from recent years, making a distinction into intimate works which were written for literary purposes and the ones which have the status of daily literary practice. In the latter case, the author analyzes arguments for and against publishing them, believing that the legal norms must not be sufficient, and that an editor must take into account also less unambiguous recommendations of his or her conscience, which means the ability to distinguish between good and evil and respect individual dignity and one's right to privacy.

<sup>1</sup> W. Chorążyczewski, A. Rosa, *Egodokumenty – egodokumentalność – analiza egodokumentalna – spuścizna egodokumentalna*, w: *Egodokumenty. Tradycje historiograficzne i perspektywy badawcze*, pod red. W. Chorążyczewskiego, A. Pacevičiusa i S. Roszaka, Toruń 2015, s. 11–21.

<sup>2</sup> P. Rodak, *Między zapisem a literaturą. Dziennik polskiego pisarza w XX wieku (Żeromski, Nalkowska, Dąbrowska, Gombrowicz, Herling-Grudziński)*, Warszawa 2011, s. 33–34.

<sup>3</sup> Ibidem, s. 35.

<sup>4</sup> E. Rybicka, *Antropologiczne i komunikacyjne aspekty dyskursu epistolograficznego*, „Teksty Drugie” 2004, nr 4, s. 44–45.

<sup>5</sup> Sformułowanie Pawła Rodaka (op. cit.).

<sup>6</sup> W tym fragmencie tekstu korzystam częściowo z pracy licencjackiej p. Katarzyny Płachty, „Problemy wydań dzienników, listów i zapisków prywatnych w Polsce”, Kraków 2016, napisanej na Uniwersytecie Jagiellońskim (kierunek: edytorstwo) pod kierunkiem dra Andrzeja Nowakowskiego.

<sup>7</sup> M. Markiewicz, *Cywilnoprawna ochrona korespondencji*, „Prace z Prawa Własności Intelktualnej. Zeszyty Naukowe Uniwersytetu Jagiellońskiego” 2012, z. 1 (115), s. 93.

<sup>8</sup> K. Płachta, op. cit., s. 13. Cytat w tekście za: E. Wojnicka, B. Giesen, *Autorskie prawa osobiste*, w: *System prawa prywatnego*, t. 13: *Prawo autorskie*, pod red. J. Barta et al., Warszawa 2013, s. 382.

<sup>9</sup> M. Markiewicz, op. cit., s. 110–111.

<sup>10</sup> J. M. Coetzee, recenzja w „New York Review of Books”, tłum. polskie: „Magazyn Dziennika” 2009, 18–19 kwietnia, s. 13.

<sup>11</sup> Zob. np. J. Fazan, *Od metafory do urojenia. Próba patografii Tadeusza Peipera*, Kraków 2010; I. Boruszkowska, *Defekty. Literackie auto/pato/grafie. Szkice*, Kraków 2016;

M. Kmieć, *Zapiski Aleksandra Wata z Kaiser Hospital – fragmenty autobiografii heterotopicznej*, „Wielogłos. Pismo Wydziału Polonistyki UJ” 2017, nr 1 (31), s. 67–86. Również podczas toruńskiej konferencji poświęconej związkowi intymistyki i edytorstwa można było usłyszeć o publikowaniu dokumentacji ze szpitala psychiatrycznego.

<sup>12</sup> H. Zaworska, *Szczerść aż do bólu. O dziennikach i listach*, Warszawa 1998, s. 5. Słowa pochodzą ze wstępu, w którym autorka wyznaje, że jest sceptyczna wobec owej szczerości diarystów i autorów listów.

<sup>13</sup> I. Morawski, *Listy do Haliny Poświętowskiej*, „Tylko mnie pogłaszcz...”, oprac. M. Pryzwan, Warszawa 2017.

<sup>14</sup> S. I. Witkiewicz, *Listy do żony*, t. 1–4, przygotowała do druku A. Micińska, oprac. J. Degler, Warszawa 2005–2012, Warszawa 2015–2016 (wyd. 2).

<sup>15</sup> „Życie Literackie” 1981, nr 40.

<sup>16</sup> „Rzeczpospolita” 1997, nr 45.

<sup>17</sup> W. Gombrowicz, *Kronos*, wstęp R. Gombrowicz, postłowie J. Jarzębski, oprac. R. Gombrowicz, J. Jarzębski i K. Suchanow, Kraków 2013.

<sup>18</sup> J. Staroń, *Wola autora czy edytora? Inedita jako problem wydawniczy*, w: *Utopia ideału. Filologia, typografia, nowe media*, pod red. J. Staroń, Lublin 2014, s. 25–39.

<sup>19</sup> W sprawie publikacji listów Witkacego zob. J. Mazurkiewicz, „Nie ufaj żonie, nie licz na fanów”, czyli o prawnych aspektach pośmiertnych edycji korespondencji, w: *Rozprawy cywilistyczne. Księga pamiątkowa dedykowana Profesorowi Edwardowi Drozdowi*, pod red. M. Pecyny, J. Pisulińskiego i M. Podreckiej, Warszawa 2013, s. 795–809.

<sup>20</sup> A. Micińska, *Nieznane listy St. I. Witkiewicza do żony Jadwigi. Autoportret na wystawę pośmiertną*, „Przekrój” 1982, nr 1916; cyt. za: J. Mazurkiewicz, op. cit., s. 798.

<sup>21</sup> Jan Paweł II, „Jestem bardzo w rękach Bożych”. *Notatki osobiste 1962–2003*, tłum. I. Dulęba, M. Sarnek i A. Skucińska, Kraków 2014.

<sup>22</sup> Ibidem, s. 5.

<sup>23</sup> *Korespondencja Jan Darowski – Adam Czerniawski*, „Fraza” 2011, nr 1 (20), s. 267–296.

<sup>24</sup> E. Zyman, *Listy z magla*, „Fraza” 2011, nr 2 (20), s. 277.

<sup>25</sup> Ibidem, s. 279.

<sup>26</sup> Ibidem.

<sup>27</sup> K. Mętrak, *Dziennik 1969–1979*, wybór, opracowanie i wstęp W. Holewiński, Warszawa 1997, s. 6.

<sup>28</sup> D. Pachocki, *Uwagi edytorskie*, w: E. Stachura, *Dzienniki. Zeszyty podróżne*, t. 1, oprac. D. Pachocki, Warszawa 2010, s. 319–320.

<sup>29</sup> Przykładami mogą być omawiane wyżej notatki Gombrowicza, Jana Pawła II i Stachury, a także wydane „genetycznie” w niemal tysięcznym tomie przez Adama Dziadka i Jana Zielińskiego *Notatniki Aleksandra Wata* (Warszawa 2015).

<sup>30</sup> Taki charakter ma, moim zdaniem, książka Czesława Miłosza *Zaraz po wojnie. Korespondencja z pisarzami 1945–1950*, Kraków 1998.

<sup>31</sup> G. Flaubert, *Listy*, wybór i tłum. W. Rogowicz, Warszawa 1957, s. 187. Cytuję za wspomnianą pracę licencjacką Katarzyny Plachty, w której przytoczony cytat służy jako motto.

